

Henryk Jackiewicz (1902-1982) wspomnienia z Wilna i sowieckich łagrów

Zagłądając do historii Południowego Podlasia, a szerzej – do historii Polski – znajdujemy co rusz postacie, które powinny budzić w nas dumę powodu, że są naszymi krajanami. Taką osobą był Henryk Jackiewicz. Przypominanie ich drogi życiowej jest obowiązkiem tych, co jeszcze pamiętają lub mają bezpośredni dostęp do materiałów źródłowych.

Artykuł o Henryku Jackiewiczzu składa się w przeważającej części właśnie z materiałów źródłowych, a więc ze wspomnień samego Henryka napisanych tuż po jego powrocie z niewoli w Karagandzie w 1955 roku. Obejmują one okres od aresztowania w 1944 roku do zwolnienia prawie 12 lat później. Henryk opisuje swoje życie w czasie, gdy był pozbawiony prawa do wolności, godności, nadziei na lepszą przyszłość. Nawet śmierć była reglamentowana, gdyż ludzi zabijano niejako na raty morderczą pracą i skrajnie ciężkimi warunkami egzystencji.

Zanim przejdziemy do pierwszego z tekstów, opowiedzmy trochę o osobie Henryka Jackiewicza. Urodził się w Łomazach 8 września 1902 roku w rodzinie unickiej – czyli katolickiej obrządku wschodniego. Pisałem o tym już kiedyś przy okazji artykułu o bracie Henryka, Aleksandrze (Podlaski Kwartalnik Kulturalny, nr 2/2009 „Rudzki też ładnie brzmi”).

Unici – o czym się jeszcze na ogół pamięta – byli w czasach zaborów brutalnie represjonowani przez władze carskie jako „odszczepieńcy” od kościoła prawosławnego. Podczas unii brzeskiej w 1596 roku część Cerkwi prawosławnej znajdująca się w granicach Rzeczypospolitej Obojga Narodów uznała zwierzchnictwo papieża i dogmaty katolickie, zachowując dotychczasową liturgię. Pozwoliło to kościołowi prawosławnemu wyjść z kryzysu kulturowego, duchowego i politycznego (związanego m.in. z upadkiem Cesarstwa Wschodniego). Późniejsze losy unitów, po utracie wolności przez Polskę, były jednak tragiczne.

Na początku XX wieku małżeństwo Elżbiety i Michała Jackiewiczów, jako unickie, było utrzymywane w tajemnicy przed władzą zaborcy. Z tego powodu pierwsze dzieci z tego związku miały – z punktu widzenia administracji carskiej – status nieślubnych. Jednakże w społeczności Łomaz małżeństwo Jackiewiczów akceptowano bez zastrzeżeń, a ich dzieci traktowano jako prawowite. W 1905 r. car Mikołaj II wydał ukaz tolerancyjny, na mocy którego unici odzyskali swobodę praktykowania wiary. W praktyce oznaczało to szybkie przejście unitów na katolicyzm, gdyż Kościół unicki nie został reaktywowany.

Elżbieta i Michał mieli sześcioro dzieci. Najstarsi synowie, Aleksander i Henryk urodzili się jeszcze przed ukazem tolerancyjnym, zostali więc zapisani pod nazwiskiem matki i dopiero później Henryk przyjął nazwisko Jackiewicz. Natomiast jego starszy brat postanowił zostać przy nazwisku Rudzki.



W czasie pierwszej wojny światowej i później obaj bracia aktywnie walczyli o niepodległość Polski. Byli Legionistami Piłsudskiego, a po wojnie założycielami miejscowego oddziału Związku Strzeleckiego. Działali w rodzinnych Łomazach, organizując tam wolną Polskę. W praktyce oznaczało to zakładanie podstawowych instytucji jak: samorząd, policja, straż pożarna, szkoła, biblioteka...

Po wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku Henryk zdał maturę, a następnie poszedł na studia do Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie. Po ich ukończeniu powrócił do działalności spółdzielczej i zajmował się nią przez cały okres międzywojenny. Pracował nie tylko w Łomazach i na Podlasiu, lecz także na Ziemi Kieleckiej i na Górnym Śląsku. Był znakomitym organizatorem i miał zdolności mediacyjne, kierowano go więc na tereny, gdzie aktywność spółdzielcza była słabo

rozwinęta.

W pod koniec lat 20-tych Henryk poślubił Aleksandrę z domu Dunkus. Małżeństwo Jackiewiczów miało trzy córki: Halinę, Kysię (urodziły się jako bliźniaczki, ale nie jednojajowe) i młodszą od nich o cztery lata Zosię. Przez chwilę, tylko przez jedną godzinę 1939 roku, trzy siostry Jackiewiczówny miały też braciszka, Wiesława. Działo się to w Wilnie, już podczas wojny. Synek Aleksandry i Henryka został pochowany na Rossie...

Bardzo możliwe, że miłość do żony i dzieci była tą decydującą siłą, która sprawiła, że Henryk przetrwał najtrudniejszy czas swego życia – który nadchodził nieuchronnie.

W okresie międzywojennym wielką zasługą Henryka Jackiewicza na rzecz społeczności było organizowanie ruchu spółdzielczego – w czasach II RP była to działalność pionierska. Henryk założył łomaski oddział spółdzielni spożywców „Społem”, kierował też oddziałami „Społem” w dużych miastach, m.in. w Siedlcach, Wilnie. W organizowaniu ludzi wokół wspólnej sprawy, objawił się jego wyjątkowy talent mediacyjny i organizatorski. Działal też jako organizator Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”. Umiarkowanie zaangażowany politycznie, należał do Stronnictwa Ludowego.

W 1938 roku trafił na Wileńszczyznę, gdzie pracował jako dyrektor wojewódzkiego oddziału „Społem”. W Wilnie też zastała Henryka druga wojna światowa.

O działalności Henryka Jackiewicza podczas wojny tak pisze Longin Tomaszewski w swoim dziele „Wileńszczyzna lat wojny i okupacji 1939-1945” (wyd. RYTM 2001): *W okresie okupacji włączył się czynnie do pracy niepodległościowej. Od września 1941 roku był z ramienia Stronnictwa Ludowego członkiem Centralnego Wydziału Wykonawczego Wileńskiej Koncentracji Demokratycznej, od marca 1942 roku członkiem Komitetu Walki Podziemnej, w 1943 roku został mianowany pierwszym zastępcą Delegata Rządu na Okręg Wileński. Po aresztowaniu w końcu sierpnia 1944 roku Zygmunta Fedorowicza, pełnił krótko, do chwili aresztowania 6 września 1944 roku, obowiązki Delegata Rządu. Zbiegł z aresztu śledczego, lecz 26 grudnia roku został ponownie aresztowany i skazany na 15 lat katorgi.*



Widzimy zdjęcie Henryka z córkami na spacerze ulicami Wilna w 1939 roku. Ostatnie dni pokoju... Następne zdjęcie, z żoną Olą, zrobione zostało już podczas trwania okupacji, między rokiem 1940 a 1944. Początkowo Wilno znajdowało się pod okupacją sowiecką, a po napaści III Rzeszy na Związek Sowiecki okupantem zostali – pod koniec czerwca 1941 roku – Niemcy. Stan ten trwał do lata 1944 roku, kiedy to w pierwszej połowie lipca wojska Armii Krajowej, współdziałając z Armią Czerwoną, wyparły Niemców z Wilna. Wolność trwała zaledwie kilka dni: NKWD zaczęła aresztowania polskich oficerów, żołnierzy oraz przedstawicieli Polskiego Państwa Podziemnego – także Henryka Jackiewicza, który pełnił w tym czasie funkcję Delegata Rządu.

Przejdźmy teraz do tekstu, który jest relacją Henryka Jackiewicza z ostatnich dni wolności oraz

tego, co działo się po jego aresztowaniu. Rozpoczyna się opisem zebrania Delegatury Rządu RP na Wilno, kończy zaś wywózką do łagru. Relacja powstała po powrocie z niewoli i pomimo, że Henryk starał się zachować powściągliwość opisu, to ze zdań wylania się dramat człowieka – brutalnie zdeptanego i bezradnego wobec totalitarnej przemocy. Wciąż czującego oddech okropnej przeszłości.

Prześledźmy te zdarzenia oczami Henryka Jackiewicza:

Zebranie odbywało się w Wilnie w dnia 7 września 1944r. w godzinach popołudniowych w pewnym lokalu przy ul Garbarskiej, a więc w samym centrum miasta, niedaleko od Katedry, Uniwersytetu, Pałacu Reprezentacyjnego oraz gmachu Urzędu Wojewódzkiego. Uczestnikami zebrania byli obaj zastępcy Delegata Rządu RP na miasto Wilno i woj. wileńskie oraz naczelnicy niektórych wydziałów Delegatury, z dyrektorem jej Biura Delegatury na czele.

Przedmiotem obrad było wprowadzenie na miejsce aresztowanego przez NKWD Delegata Rządu, dr Zygmunta Fedorowicza, jednego spośród jego zastępców, oraz omówienie sytuacji politycznej, jaka się wytworzyła na tych terenach po wypędzeniu Niemców i objęciu rządów przez władze radzieckie.

Zastępcami Delegata Rządu byli:

1. Henryk Jackiewicz – dyrektor zlikwidowanego Oddziału „Społem” Związku Spółdzielni Spożywców RP w Wilnie w 1940 r. przez władze litewskie, działacz spółdzielczy i ludowy wyznający kierunek polityczny i społeczno-gospodarczy reprezentowany przez „Wici”.

2. dr Jerzy Dobrzański – z zawodu lekarz oraz działacz społeczny i polityczny PPS.

Zarówno dr J. Dobrzański jak i mnie o tym, że zostaliśmy powołani na stanowiska zastępców Delegata Rządu powiadomiono, jak również zaprzysiężono, dopiero w drugiej połowie czerwca 1944 r., a więc na krótko przed rozpoczęciem walk o wyzwolenie Wilna.

Powołując nas na te stanowiska nie ustalono dla nas żadnych innych ściśle określonych funkcji, będąc więc zastępcami Delegata, stanowiliśmy jedynie rezerwę na wypadek, gdyby Delegat nie był w stanie z takich czy innych powodów wykonywać powierzonych mu obowiązków.

Przed przybyciem na zebranie odbyłem naradę z dr J. Dobrzańskim na temat sytuacji ogólnej w Wilnie oraz sytuacji w Delegaturze, która się skomplikowała aresztowaniem Delegata.

Dokonując przeglądu wydarzeń w Wilnie i na wileńszczyźnie za okres od wypędzenia Niemców aż do ostatniej chwili, doszliśmy do wniosku, że nie istnieją warunki, aby Delegatura mogła wypełniać zadania do jakich została powołana. Wprawdzie nie został ogłoszony żaden akt oficjalny o delegalizacji Delegatury i innych niekomunistycznych polskich organizacji, ale fakt uwięzienia dotychczasowego Delegata oraz innych jego współpracowników, jak również przeprowadzane w sposób masowy aresztowania wśród najszerzych warstw społeczeństwa polskiego, świadczyły najwymowniej o zdecydowanie wrogim stanowisku władz radzieckich do niekomunistycznych i nieradzieckich organizacji polskich oraz o wypowiedzeniu im w sposób zdecydowany wojny, prowadzonej zresztą przy nieprzebieraniu w środkach walki. Sytuację ogólną, jak również ułożenie chociażby możliwych do zniesienia stosunków z władzami radzieckimi, skomplikował w bardzo poważnym stopniu fakt rozpoczęcia przez NKWD prześladowań żołnierzy polskich sił zbrojnych zorganizowanych w formacjach AK. Żołnierze AK, którzy nie tak dawno jeszcze, walcząc ramię przy ramieniu z żołnierzami radzieckimi, wypierali z Wilna Niemców oraz, ścigając rozproszone oddziały niemieckie, oczyszczali z nich teren, byli teraz przez wojska NKWD sami ścigani i dziesiątkowani.

Wielkie zdziwienie i jeszcze większe zaniepokojenie w społeczeństwie polskim wywołał fakt rozbrojenia i internowania przez NKWD tysięcy żołnierzy AK zgrupowanych na rozkaz komendanta AK Okręgu Wileńskiego w Miednikach koło Wilna, gdzie była zarządzona koncentracja oddziałów przeznaczonych do wymarszu na zachód, w celu okazania pomocy walczącej z hitlerowcami Warszawie.

Listę niepomysłnych i zatrważających wieści zamykała wiadomość o aresztowaniu przez NKWD i uwięzieniu oficerów sztabu AK Okręgu Wileńskiego, z komendantem tego okręgu gen. „Wilkiem” – Aleksandrem Krzyżanowskim na czele.

Po zebraniu otrzymałem od dr J. Dobrzańskiego najświeższy numer komunikatu radiowego pt. „Tu mówi Londyn”, następnie dr J.D. podzielił się ze mną swymi kłopotami, jakie miał w związku z niedojściem do skutku spotkania z jednym z najaktywniejszych działaczy WKD Edmundem Greczannikiem^[1]. Mianowicie już od dwóch dni nie zgłasza się on na umówione miejsce spotkania. Dr Dobrzański poprosił mnie, abym wracając do domu wstąpił do jego mieszkania i wyjaśnił całą sprawę

Nie przyszło nam na myśl, że nieobecność E.G. na wyznaczonym przez dr D. miejscu spotkania mogła być spowodowana jego ewentualnym aresztowaniem i że w takim wypadku należałoby raczej zachować daleko idącą ostrożność, a przede wszystkim zaniechać wszelkich prób odwiedzania domu, w którym E.G. wraz ze swoją rodziną mieszkał. Później, kiedy zastanawiając się nad tym wydarzeniem, poddawałem je analizie, doszedłem do wniosku, że wpływ na to zlekceważenie niebezpieczeństwa musiała wyrzucić nasza dotychczasowa wieloletnia natężona praca konspiracyjna, powodująca już znaczne stopień zmysłu samozachowawczego. Poszedłem więc do E. Greczannika. Idąc w okolicę ul. Kijowskiej wstąpiłem po drodze na rynek przy ul. Zawalnej, gdzie kupiłem kilka bułeczek z zamiarem wręczenia najmłodszej mojej córce Zosi, która dopiero co powróciła ze wsi do Wilna.

Było już ciemno, kiedy wszedłem na schody prowadzące do znajdującego się na I piętrze mieszkania Edmunda. Przed uruchomieniem dzwonka od drzwi sprawdziłem stan umówionych znaków ostrzegających. Wszystko znalazłem w najzupełniejszym porządku, to znaczy żadne niebezpieczeństwo nie zagraża, można dzwonić. Zadzwoń. Jeszcze nie przebrzmiały echa ostatniego dzwonka, kiedy otworzyły się drzwi, a w nich ukazał się najzupełniej mi nieznany mężczyzna. Po kurtce, jaką miał na sobie oraz po mowie, od razu zorientowałem się, z kim mam do czynienia, ale na wycofanie się było już za późno. Zostałem niezwłocznie wprowadzony do przedpokoju. Mieszkanie pp. Greczanników dobrze znałem, jak również znałem dobrze jego rozkład.

Kiedy mnie wprowadzano do przedpokoju, z pokoju vis-a-vis drzwi wejściowych wyszedł jeszcze jeden enkawudzista i dołączył do tych, którzy mnie zatrzymali. Zauważyłem wówczas, że pokój, z którego wyszedł enkawudzista, jest wypełniony ludźmi, mężczyznami i kobietami. Widocznie, jak ja, byli oni zatrzymani w czasie odwiedzin tego mieszkania. Mnie jednak tam nie wprowadzono, lecz kazano wejść do sąsiedniego pokoju położonego obok. Po wejściu do tego pokoju zauważyłem siedzącego za stołem jeszcze jednego enkawudzystę, a obok niego kobietę w starszym wieku, już siwą. Najpierw zostałem poddany szczegółowej rewizji i dopiero teraz uświadomiłem sobie, że obok „kompromitującego” dokumentu, jakim był komunikat „Tu mówi Londyn”, posiadam przy sobie o wiele bardziej „obciążający” mnie dowód, mianowicie konspekt przemówienia, jakie wygłosiłem przed paroma godzinami na zebraniu Delegatury. Wszystkie te materiały, wraz z dowodem osobistym i wszystkimi innymi notatkami, papierkami, portfelem z pieniędzmi, zostały mi odebrane i wpisane do protokołu. Rozpoczęło się wstępne dochodzenie.

Najpierw starano się ustalić cel mojego przybycia do mieszkania Greczanników. Odpowiedziałem, że bardzo słabo znam język rosyjski – co zresztą było prawdą, więc nie rozumiem, co do mnie mówią i czego ode mnie chcą. Ale tłumacz był na miejscu, właśnie w osobie tej siedzącej obok enkawudzysty starszej pani. Odpowiedziałem – zresztą mogło to być prawdopodobne – że przyszedłem tutaj w sprawach handlowych. Następne pytanie dotyczyło więzów, jakie mnie łączą z E. Greczannikiem i jego żoną. Odpowiedziałem, że poza sprawami handlowymi nic mnie więcej nie łączy. To wstępne przesłuchanie odbywało się w formie najzupełniej kulturalnej i bez jakichkolwiek w stosunku do mnie ekscesów. Radzono mi jednak, abym mówił szczerą prawdę, gdyż to może wpłynąć bardzo korzystnie na dalszy mój los.

Po zakończeniu przesłuchania przeprowadzono mnie do tego pokoju, w którym zgromadzono zatrzymanych. Wprowadzając do tej izby zatrzymanych, zabroniono mi prowadzenia z zebranymi tutaj ofiarami pułapki, jakichkolwiek rozmów oraz dawania znaków porozumiewawczych. Rozejrzałem się po pokoju. Było 17 osób, mężczyźni i kilka kobiet. Wśród zatrzymanych znajdował się mój współtowarzysz walki z Niemcami, jeden z najaktywniejszych działaczy WKD, Piotr Hulewicz. Wymieniliśmy spojrzenia. Teraz zacząłem się zastanawiać nad wytworzoną sytuacją. Po tym

wszystkim, co się tutaj działo, można było być pewnym, że z Greczannikami musiało się coś stać. Nie było ich w mieszkaniu, więc uciekli albo zostali aresztowani i osadzeni w więzieniu. Musiało się coś z nimi stać, skoro NKWD okupuje ich mieszkanie, a ludzi, którzy mieszkanie to odwiedzają, poddaje rewizji i zatrzymuje.

Zrozumiałem, że moje położenie jest więcej aniżeli złe. Znalezione przy mnie materiały niewątpliwie zostaną wykorzystane przeciwko mnie jako dowody działalności konspiracyjnej oraz przynależności do jakiejś organizacji. Wprawdzie konspekt referatu nie zawierał żadnych konkretnych danych, ale narzucone własnoręcznie na papier pewne tezy, stwierdzenia i luźne myśli wymagać będą na pewno trudnych do wytłumaczenia wyjaśnień. Zatrzymanie mnie i ustalenie mojej tożsamości pociągnie za sobą niewątpliwie dalsze niebezpieczne w skutkach konsekwencje, a nawet może ofiary w ludziach. Wyobrażałem sobie, że już poszedł rozkaz obstawienia mojego mieszkania, przeprowadzenia w nim rewizji i zatrzymywania wszystkich osób, które je będą odwiedzać. Co do tzw. „kompromitujących” materiałów, byłem spokojny: tam takich nie znajdą. Nie było jednak gwarancji, że w czasie okupacji mojego mieszkania przez NKWD nikt tam nie przyjdzie. Wiele zależeć będzie od tego, czy na czas w umówionym miejscu wystawione zostaną znaki ostrzegawcze.

W pokoju paliła się lampka elektryczna i panowało ponure, przygnębiające milczenie. Niektórzy z zatrzymanych siedzieli, a ci, dla których brakowało siedzących miejsc, stali pod ścianami i obok pieca. Widoczne było, że prawie wszyscy są mocno podekscytowani i każdy, wiedząc o tym co się dzieje w mieście, na pewno zastanawiał się nad dalszym swoim losem. Zachowywałem się tak, jakbym spośród obecnych nikogo tutaj nie znał. Zdając sobie sprawę, że to co mi się tutaj przydarzyło stanowi dopiero początek dochodzeń i badań, myślałem nad sposobami obrony oraz nad taktyką, jaką w czasie obrony należałoby zastosować. Powziąłem ponadto mocne postanowienie, że powinienem wykorzystać każdą nadarżającą się okazję, aby odzyskać wolność.

W późnych godzinach nocnych polecono nam przygotować się do opuszczenia pokoju. Podchodzili do nas enkawudziści i kolejno wyprowadzili zatrzymanych z mieszkania. Przyszła kolej i na mnie. Trzymany przez enkawudzistę pod rękę sprowadzony zostałem po schodach na parter, następnie na ulicę. Tutaj zauważyłem stojący przed domem samochód ciężarowy, a na nim grupę ludzi. Obok stali uzbrojeni enkawudziści. Kazano mi wsiąść do samochodu. Lokując się na ławce obok Piotra Hulewicza, uściśnięłem mu mocno dłoń. Wkrótce samochód, konwojowany przez enkawudzistów, ruszył. Skręcił w lewo na ul. Kijowską, następnie w prawo na ul. Słowackiego i – jadąc dalej Górą Bouffałową – dotarł do ul. Ofiarnej. Samochód zatrzymał się przed bramą prowadzącą do gmachu wymiaru sprawiedliwości, zamienionego w czasie wojny (w szczególności w czasie hitlerowskiej okupacji) w miejsce zbrodni i kaźni.

Skrzypnęła brama i samochód wtoczył się na podwórze więzienia. Kazano nam wysiąść. Ponieważ przez pewien czas przebywaliśmy nie strzeżeni na podwórzu, zacząłem się rozglądać pilnie wokół, szukając możliwości ucieczki. Stałem obok drewnianego ogradzającego podwórze parkanu. Wprawdzie parkan u góry był zabezpieczony drutem kolczastym, jednak wydawało mi się, że pokonanie go nie powinno nastręczać zbyt wielkich trudności. Potrzebny był tylko jakiś środek, przy pomocy którego można byłoby się przedostać na drut kolczasty.

Następnie – myślałem – skok na tamtą stronę i kto wie, czy ucieczka w mroku nocnym nie zakończyłaby się powodzeniem.

Zacząłem wypatrywać, czy w pobliżu nie ma jakiegoś przedmiotu, który mógłby posłużyć za podporę w przedostaniu się na tamtą stronę. Ale niestety, niczego co mogło mi się przydać nie było.

7 września 1944 r. zostałem aresztowany przez NKWD w Wilnie, w Mieszkaniu Edmunda Greczannika, i tego dnia późnym wieczorem przewieziony do więzienia NKWD w Wilnie przy ul. Mickiewicza.

8 września 1944 r. po nocy spędzonej w piwnicy więzienia – udana ucieczka (skok przez okno na ul. 3 Maja z pokoju sledowatela [2], po jego wyjściu z pokoju). Skutki: złamana lewa noga, pęknięcie w kostce.

26 grudnia 1944 r. ponowne aresztowanie przez NKWD w mieszkaniu Józefa Pieślaka, przy ul.

Szeptyckiego, wg wszelkiego prawdopodobieństwa za sprawą Józefa Pieślaka i jego „żony” Wandy Kołaczyńskiej.

Od 26 grudnia 1944 do 23 maja 1945 r. pobyt w piwnicy więzienia NKWD w Wilnie przy ul. Mickiewicza. Następnie w więzieniu Łukiszki w Wilnie, a potem znowu w piwnicy przy ul. Mickiewicza. Współtowarzyszami niedoli byli m.in.: rektor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, prof. dr Stefan Ehrenkreutz, Janusz Tłomakowski, Aleksander Melecheru i inni. Śledztwo, pobyt w zaludnionych ponad wszelkie granice celach, głód, brak powietrza, insekty (wszy, pchły i pluskwy) spanie na gołej podłodze (na Łukiszkach na betonowej) bez sienników, poduszek, nakryć. Zimno (nie ogrzewane cele, a okna bez szyb po działaniach wojennych). Spożywanie „zup” gotowanych na obierzynach ziemniaczanych, z zardzewiałych puszek (po „tuszonce”) i spluwaczek (Łukiszki) bez łyżek.

Tortury nocne: śledztwo (np. na bukwę), jęki ludzi bitych, katowanych w czasie przesłuchań u sledowatiela.

Sposób prowadzenia na śledztwo przez korytarze: nie wolno nikomu patrzeć w twarz – twarz „do ściany” itd. itp. terror.

23 maja 1945 r. zostaje z Wilna wywieziony samolotem do Moskwy i uwięziony w więzieniu na Łubiance. Transport z więzienia przy ul. Mickiewicza na lotnisko Czornym Woronem razem z prof. dr Zygmuntem Fedorowiczem, kpt. Stefanem Czernikiem (mężem Hanny Skarżanki) i in. Towarzysze podróży enkawudziści z naganami. Wrażenie, że wiozą nas na „Ponary” [3] na rozstrzelanie. Na lotnisku zakucie rąk w kajdany i załadowanie do samolotu pasażerskiego typu amerykańskiego. W samolocie przy każdym więźniu enkawudzista z naganem, zakaz prowadzenia rozmów i patrzenia w okno. Podróż samolotem w nieznane, ale co słońce nam powiedziało: wiozą nas na wschód.

Lądowanie w Moskwie. Transport do więzienia na Łubiance. Tego, że znajduję się na Łubiance, dowiedziałem się po napisach na pościeli: Wnutriennaja Tiurma NKWD [4]. Przyjęcie na Łubiance: siedzenie w tzw. „boksie”, oględziny lekarskie na nagusa, kobieta lekarz: stwierdzenie na ciele licznych śladów ukąszeń przez insekty. Rewizja tak szczegółowa, że zaglądano nawet do uszu, ust, odbytnicy itp. Szczegółowa rewizja odzieży. Kąpiel, pytanie nadzieratiela [5] w czasie kąpieli: poczemu wy takoj chudoj – głos bardzo przyciszony. Nakaz mówienia tylko szeptem.

Preżarka [6]. Przeganianie w ciągu całej nocy i przesiadywanie w różnych nie mających okien celach, nago. Zwrot odzieży i ulokowanie w pojedynczej celi. Parasza [7] i „judasze” w drzwiach, jak wszędzie. Światło elektryczne w celi po całych nocach. Spanie tylko na wznak, z łóżkiem ustawionym pośrodku celi i głową zwróconą do „judasza”, ręce na kocu. Możliwość korzystania z biblioteki więziennej. Pierwsza książka rosyjska powieść o dekabrystach

Odwiedziny w celi oficera dyżurnego i jego odpowiedź, że na otrzymanie paczki oraz utrzymywanie korespondencji z rodziną nie mogą liczyć, ponieważ rodzina znajduje się poza obszarem Moskwy.

Progulki (spacery) 10-15 minutowe na dachu więzienia, w ogrodzonych przegródkach tak, że nic więcej oprócz nieba nie widać.

W celi małe okienko, zakapturzone w taki sposób, że widoczny jest tylko kawałek nieba. Historia z fotografowaniem w więzieniu (nie wystarczyło wielokrotne fotografowanie mnie w Wilnie). Forma zdjęcia: u dołu napis: nazwisko, imię i imię ojca, fotografowanie w różnych pozach. Wyprowadzenie z celi do laboratorium fotograficznego przez enkawudzistę trzymającego silnie za ramię przez labirynt różnych schodów i korytarzy z nakazem zachowania absolutnej ciszy.

Życie więźnia w pojedynczej celi. Zatrata poczucia czasu – rozwinięcie zmysłu odczuwania pory dnia. Transport pojedynczo Czornym Woronem z więzienia na Łubiance do więzienia na Butyrkach w Moskwie. Przesiadywanie w „boksie” na Łubiance oraz w „boksie” na Butyrkach. Szczegółowa rewizja na Butyrkach, przeprowadzona w taki sam sposób jak na Łubiance. Działo się to gdzieś w połowie czerwca 1945 r. Preżarka (dezynfekcja odzieży), bania (łaźnia). Co zauważyłem na podłodze celi, gdzie była przeprowadzana rewizja: wielką ilość różnych orderów, odznaczeń, szlifów, naramienników niemieckich. Pytanie obsługującego w łaźni (szept) kakoj wy nacjonalnosti? odpowiedziałem: poliak. O nic więcej nie pytał.

Procedura przeprowadzania przyjmowania do więzienia trwała dość długo, przynajmniej jedną dobę. Pobyt w więzieniu w celi pojedynczej, maleńkiej, z malutkim zakapturzonym okienkiem, paraszą, judaszem w drzwiach (podglądanie przez dyżurującego na korytarzu nadzieratiela w odstępach 10-15-minutowych). Z czasem wydaje się, że ten za drzwiami, na korytarzu, patrzy na mnie bez przerwy. Uczucie dość przykre. Książki z biblioteki więziennej. Uprzejme bibliotekarki.

Codziennie (tak samo jak w Wilnie i na Łubiance) prowierki – kontrole. Spacer, ale nie co dzień i nie na dachu jak na Łubiance, lecz po ziemi, na podwórzu więziennym, w specjalnych komorach ogrodzonych wysokim murem. Odgłosy odbywającej się gdzieś w Moskwie jakiejś manifestacji, orkiestry, zgrzyty i echa jadących tramwajów, głosy i śmiechy bawiących się gdzieś za więziennym murem dzieci, głosy gruchających gołębi, na niebie jaskółki...

Zalety moskiewskich więzień w porównaniu z więzieniami wileńskimi: czystiej, lepsze i smaczniejsze odżywianie. Samotność rekompensowało stosunkowo wygodne spanie na łóżku, a nie na gołej podłodze i nie „na waleta” (w Wilnie w pojedynczych celach o powierzchni około 8m² lokowano po 30 i więcej więźniów... Tam spało się „na waleta” w odzieży. Spać można było tylko leżąc bokiem, od tego spania potworzyły mi się najpierw sińce, a potem bardzo bolesne rany na biodrach). Najważniejszym plusem Moskwy było to, że nie ciągnęto na żadne śledztwa (a więc przez całą dobę, a zwłaszcza w nocy miało się spokój), oraz że nie dokuczały żadne insekty. Samotność koili książki dostarczane przez uprzejme bibliotekarki, a samopoczucie poprawiała świadomość, że siedzi się w nie byle jakim więzieniu.

Ale pewnego dnia (działo się to, jak później ustaliłem, 6 lipca 1945 r.) w celi zjawił się nadziratel z rozkazem: *sobierajties s wieszczami* (nie miałem żadnych rzeczy, prócz odzieży na sobie). Następnie poprowadził mnie różnymi korytarzami, aż dotarliśmy do „boksowni” [8] i tam mnie wsadził do jednego boksu obstawionego po bokach rzędami kabin. Każda kabina wielkości ustępu na Butyrkach, wewnątrz pomalowana jest na kolor czerwony, posiadała ławkę oraz wysoko u góry światło elektryczne. Drzwi od Kabiny: szczelnie zamknięte. Wiadomo, że w sąsiednich kabinach również znajdują się więźniowie, ale tak samo jak w celi, trudno się z nimi skontaktować, porozumieć. Kabina niewygodna przy dłuższym w niej przebywaniu, wprawdzie można stać i siedzieć, ale o spaniu w pozycji leżącej, ze względu na jej szczupłe rozmiary, nie może być mowy.

Dokuczliwy dla oczu i samopoczucia jest kolor ścian oraz jarzące się bez przerwy, przy absolutnym braku światła dziennego, światło elektryczne. W takich warunkach w Butyrkach przebywałem dwie doby, niepewność i tajemniczość dalszego losu dolewała oliwy do ognia. Siedząc w takiej „psiej budzie” wiedziałem jednak, że wokół mnie wrze jakaś gorączkowa, intensywna praca. Słychać było krzataninę, zgrzyty jakiegoś żelastwa, jakieś rozmowy. Ponieważ absolutnie nie wiedziałem, dlaczego trzymają mnie tak długo w boksie, jak również nie wiedziałem, co zamierzają ze mną zrobić, byłem przygotowany wtedy na najgorsze. Muszę się przyznać, że po doświadczeniu z podróży w samolocie, miałem jak najgorsze przeczucie siedząc w boksie. Okazało się jednak, że obawy moje były płonne.

Przyszła wreszcie kolej i na mnie. Wyprowadzono mnie z „boksu” i zaprowadzono do dużej celi, gdzie, ku wielkiemu memu zdumieniu, znajdowało się wielu moich rodaków, jak prof. dr Z. Fedorowicz, prof. dr Ludwik Chmaj, Antoni Kokociński i wielu, wielu innych. Tego samego dnia odtransportowano nas na dworzec (Białoruski) i ulokowano w wagonach więziennych tzw. „stołypińskich”. Co zamierzają z nami zrobić – tego nikt nie wiedział. Snuto tylko przypuszczenia, że na pewno postanowiono odesłać nas do Polski. Podróż powrotna do Wilna trwała 6 dni. W tym samym wagonie więziennym, w oddzielnych zadrutowanych przegródkach-przedziałach, wracała z Moskwy do Wilna grupa dziewcząt żołnierzy AK. Miały na głowie rogatywki. Jechała również grupa oficerów sztabowych z dowództwa okręgu wileńskiego AK.

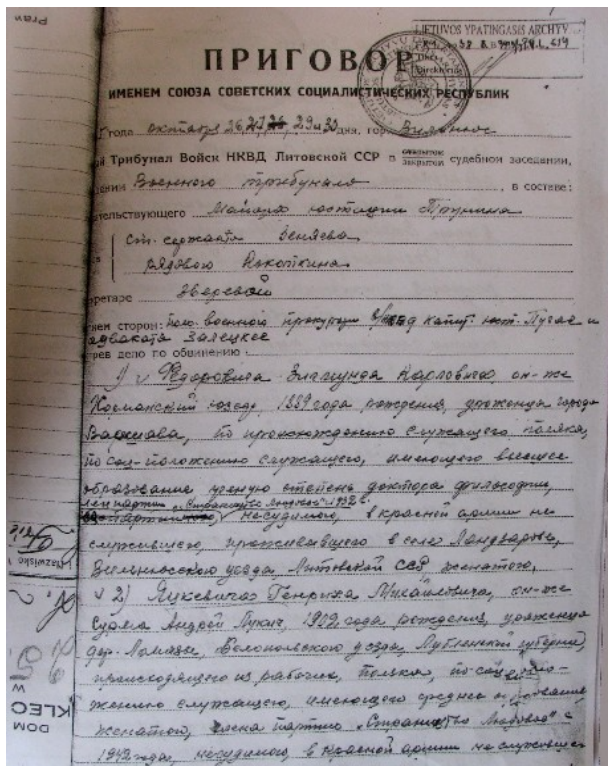
Wagony zapluskwione. Szczególnie pluskwy dawały nam się we znaki w porze nocnej, w przedziałach-klatkach panowała taka ciasnota, że nie można było się położyć. Spaliśmy więc stojąc. Niektórym więźniom w czasie tej podróży popuchły nogi.

Wreszcie, jadąc przez Mińsk Litewski i spotykając po drodze na stacjach kolejowych całą masę takich jak nasze „więzień wędrownych”, dotarliśmy do Wilna. Było to w dniu 14 lipca 1945 r., datę pamiętam ze zburzenia „Bastylii”. Przed wyladowaniem nas, wagon nasz przejechał w Wilnie nad

tzw. mostem żelaznym z widokiem na Ostrą Bramę. Następnie przetoczył się między mostem żelaznym a przejazdem kolejowym przy Zaulku Rossa, obok magazynów i biur „Społem”. Można wyobrazić sobie, co się działo w sercu moim. Podjechały kibitki Cziornyje Worony. Załadowano nas i zawieziono do więzienia na Łukiszki. Znowu rewizja, bania, prażarka, w czasie których to czynności towarzyszący mi, tym co mieli jeszcze jakąkolwiek własność, poginęło wiele rzeczy. Następnie rozdzielono nas po różnych celach, z których przerzucano co pewien czas (tak samo jak i poprzednio) do innych cel. Przez pewien czas przebywałem w jednej celi wspólnie z prof. dr L. Chmajem, A. Kokocińskim, Chorążakiem, Makowskim i innymi Polakami. Robiliśmy wszystko co można, aby „zabić czas”. Codziennie organizowaliśmy wykłady, pogaduszki, śpiewaliśmy (oczywiście po cichu, gdyż było to zakazane) różne pieśni polskie.

Niektórzy, wykorzystując różne sposoby, starali się nawiązać kontakt ze swymi rodzinami. Robiłem to i ja, ale bez pożądanego skutku. W czasie odbywanych co pewien czas progulek staraliśmy się nawiązywać łączność z innymi więźniami za pomocą „grypsów”. Nauczyłem się wówczas posługiwać alfabetem Morse’a i stukając w rury od kaloryfera, prowadziłem rozmowy z towarzyszami niedoli z sąsiednich cel. Dochodziły wiadomości dotyczące przeważnie wysyłki transportów więźniów do Rosji. Więzienie na Łukiszkach miało około 1000 miejsc, a obliczano, że we wrześniu 1945 r. stłoczonych było w nim około 30 tys., więźniów. Były także pocieszające wiadomości otrzymywane z cel sąsiednich: „Transporty do Rosji zostały wstrzymane”. Za parę dni innego rodzaju wiadomość: „Dziś odszedł z więzienia transport około 2000 ludzi”. Posługując się alfabetem Morse’a dowiedzieliśmy się o zrzuconiu bomby atomowej na Japonię, o rozmowach prowadzonych przez Mikołajczyka w Moskwie. Każdy skrawek gazety, jaki do nas się przedostał, był pilnie czytany.

W jednej z cel spotkałem swojego dobrego znajomego z Fabryki Konserw „Bałtyk” w Wilnie p. Vincasa Nowickasa. Skarżył się, że został oskarżony przez Józefa Pieślaka, przy czym Józef Pieślak w czasie procesu występował w charakterze świadka oskarżenia. Nowickas był wicedyrektorem Fabryki „Bałtyk”, a J. Pieślak księgowym wytwórni przygotowującej dla Fabryki opakowania blaszane. W czasie procesu V. Nowickasa skazano na 8 lat obozów (I.T.Ł.)



Ispravitelniy Trudovoj Łagier.^[9] W innej celi znalazłem się jako Polak sam wśród trzydziestu kilku Litwinów. Pod koniec października 1945 r. NKWD zorganizowało komedię procesu, który trwał 4 dni. Codziennie z Łukiszek prowadzono nas pod konwojem albo wożono w kibitkach do Wojennego Trybunału przy ul. Arsenalskiej vis a vis Góry Zamkowej, gdzie zostałem skazany na 10 lat I.T.Ł. i wydalenie z terenu Litewskiej Republiki do Rosji.

Po sądzie wrzucono nas do tzw. pieresylnoj karni, ogromnej celi, w której znajdowało się ponad 200 więźniów. Ogromna sala, w niej cztery rzędy odwróconych do siebie głowami z tobołkami lub węzłkami, leżących na podłodze więźniów. Wrzucono nas do celi późną nocą. Sala rzęsiście oświetlona lampami elektrycznymi. Obok drzwi dwa wielkie „judasze” w ścianie, przy nich dwie ogromne beczki po 150 litrów: parasze do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Powietrze (jak wszędzie w zatłoczonych celach) nasycone wstrętnym

zaduchem, smrodem. Obok paraszy leżą, śpią więźniowie różnych narodowości, przeważnie Polacy, Litwini. Jeden z kątów sali zajęli Rosjanie, przeważnie byli wojskowi: młodzi, wśród nich tzw. świat przestępczy, kryminaliści, błatnyje. Dochodziło z ich strony do prób grabieży ubrań oraz żywności

od Polaków i Litwinów, prób energicznie poskramianych przez grupę Polaków złożoną z młodych ludzi, żołnierzy AK, z żołnierzem występującym pod pseudonimem „Tygrys” na czele.

Po pewnym czasie zostaliśmy przerzuceni do innej celi, mniejszej niesamowicie ciasnej, gdzie na jednym metrze kwadratowym siedziało lub stało po 4 więźniów. Nie było mowy o spaniu leżąc, a miejsca siedzące, jeśli ktoś z siedzących stanął na nogi, wskutek ciśnienia więźniów ze wszystkich stron, natychmiast znikało. Niesamowity zaduch, smród i brud. Największą trudność dla więźniów chcących załatwić swoje potrzeby fizjologiczne, stanowiło przedostanie się, szczególnie w nocy, do tych oddalonych, paraszy przez kłębówisko siedzących lub stojących w różnych pozach towarzyszy niedoli. Poza tym i miejsce, jakie stanowiła parasza, było stale przez kogoś zajęte, kto ustępując tego miejsca, po prostu nie miał się gdzie podziać. Sytuację pogarszała znajdująca się w celi dość liczna grupa więźniów radzieckich, którzy zarezerwowali dla siebie stosunkowo dużo miejsca. Mogli oni spać leżąc i dokonywali napadów rabunkowych na swych współtowarzyszy niedoli innych narodowości. Odbierano najlepsze rzeczy z odzieży, ubrania, obuwie, palta, swetry, bieliznę oraz, od tych, którzy otrzymywali paczki żywnościowe, przede wszystkim tłuszcze, słoninę, wyroby tytoniowe. Niektóra kradziona odzież następnie wędrowała za drzwi celi do nadzieratieli.

Pewnego dnia (może na tydzień przed wywiezieniem do Rosji) zaczęli wywoływać nas po kolei przed komisję lekarską, która urzędowała w sąsiedniej celi. Sprawdzając personalia poddawali badaniom rozebranego do naga każdego więźnia. Sprawa była jasna – wszystko to, co robiono z nami po zakończeniu „procesu sądowego”, było przygotowaniem do transportu, do „etapu”. Podczas badania wskazałem na chorą, złamaną nogę. Otrzymałem odpowiedź: niczego, budżet rabotać. Cała ta procedura była przeprowadzana przy udziale licznych żołnierzy wojsk NKWD, którzy pokrzykując i klnąc, po badaniu wpychali każdego więźnia do sąsiedniej celi. Następnie poddawali więźnia i jego rzeczy szczegółowej rewizji, odrywając od odzieży, co jeszcze ocalało: metalowe guziki, sprzączki itp. Po rewizji każdemu „nagusowi” kazano wziąć swoje rzeczy, popędzając go i wpychając do innej celi.

Wśród zakwalifikowanych do etapu było sporo kryminalistów, błatnych, którzy korzystając z okazji, znowu zaczęli odbierać co lepsze rzeczy więźniom innych narodowości, zamieniając niektóre z nich, np. obuwie lub palta, na gorsze albo nie dając w zamian nic. Rabowano swetry, koce, zmianę bielizny itp. Po krótkim pobycie w tej celi zostaliśmy rozproszani do innych cel (mniejszych), jak się później okazało według listy więźniów przygotowanych do transportu kolejnymi wagonami. W mojej celi znalazło się sporo Polaków, trochę Litwinów i 12-osobowa; grupa młodych, zdrowych Rosjan, przeważnie byłych wojskowych. Jeszcze tej nocy zostaliśmy przez nich pozbawieni wszystkich lepszych rzeczy i wszelkie próby oporu z naszej strony, wobec siły jaką reprezentowała grupa Rosjan – byłych żołnierzy – okazały się bezskuteczne. Mi odebrano palto, ponieważ na sobie i przy sobie nie miałem już nic lepszego, a to, co miałem, na skutek dłuższego spania na gołych podłogach było już mocno zniszczone. W zamian za palto otrzymałem brudny i podarty szynel wojskowy. Jak się ci złodzieje, bandyci poubierali, to wyglądali tak, jak przedtem wyglądaliśmy my – a my, tak jak oni.

Po tej ostatniej spędzonej w Wilnie niespokojnej nocy, rankiem 23 listopada 1945 r. zaskrzyptały drzwi celi, ukazał się nadzieratiel przeraźliwie krzycząc: *sobierajties s wieszczami i wychoditie s kamery!* Cella znajdowała się na I piętrze. Na klatce schodowej stali żołnierze wojsk NKWD z karabinami. Krzycząc: *bystro, bystro!* popychając i bijąc więźniów, po plecach kolbami karabinów, spędzili „wgnanych z Litwy” na dół, na podwórze więzienia. Tak zgromadzono może 2000 więźniów, każąc im – ustawionym grupami-wagonami – siedzieć na ziemi, na śniegu. Trwało to dłuższy czas. Każdą grupę otoczył konwój złożony z żołnierzy wojsk NKWD. Otwarto więzienną żelazną bramę i zaczęto nas – znów krzycząc: *bystro bystro!* – wyprowadzać na ulicę przed więzieniem, formować w ósemki i wziąć się pod rękę. Kiedy utworzyła się ogromna kolumna, otoczono ją ścisłym konwojem żołnierzy uzbrojonych w automaty i karabiny z bagnetami. Niektórzy żołnierze jechali na rowerach lub motocyklach, inni prowadzili, szczując przeciwko więźniom, psy wilki. Na czele pochodu jechał konno oficer.

Kolumna podążała przez Plac Łukiszki, ul. 3 Maja, Górę Bouffałową, ul. Słowackiego, Chopina, Kolejową i, przechodząc u wylotu ul. Ostrobramskiej pod mostem kolejowym żelaznym,

wkroczyła do dzielnicy Nowy Świat, na stację kolejową towarową. Ulice, którymi przechodził nasz konwój, złożony z wynędzniałych, głodnych, brudnych i sterroryzowanych ludzi, były zamknięte dla ruchu kołowego i pieszego. U wylotów ulic krzyżujących się z „naszą trasą” stali uzbrojeni w broń maszynową enkawudziści. Ludzi cywilnych nawet na lekarstwo, jakby miasto wymarło. Ale widziałem co innego na dalekich pagórkach Nowego Świata, mianowicie grupki niewiast, widocznie płaczących, bo ocierały oczy chusteczkami. Niektóre żegnały nas znakiem krzyża świętego.

Znajdowałem się w jednej z ostatnich ósemek tego makabrycznego pochodu. Stąd można było zobaczyć, jak „pochód” rozciągnąwszy się na paręset metrów, wznosząc się, to opadając po pagórkowatych ulicach Wilna, szary pochód ludzi z tobołkami na plecach lub więzankami pod pachą, otoczony łańcuchem uzbrojonych enkawudzistów, ponuro posuwał się naprzód. Wśród krzyków konwojentów i klątw oraz szczucia psami tych więźniów, którzy nie dotrzymując innym kroku pozostawali w tyle, albo idąc jezdnią, zbyt zbliżali się do chodników. Psy – trzymane przez enkawudzistów na smyczy – nie wyrządziły więźniom większej krzywdy, poza poszarpaniem odzieży. Widać wytresowano ich właśnie w taki, a nie inny sposób – by również terroryzowały więźniów.

Po dojściu do placu przed stacją towarową zatrzymano „pochód”, kolumnę i wszystkim więźniom kazano usiąść na ziemi. Obok stał pociąg złożony z wagonów towarowych z zakratowanymi okienkami. W pewnej chwili padła komenda do jednej z grup: wstać i biegiem do wagonu. Grupami, wg ustalonej z góry kolejności, więźniowie, popędzani przez enkawudzistów, biegli do wyznaczonych dla nich wagonów. Przyszła kolej i na naszą grupę-wagon. Zapędzeni znaleźliśmy się w wagonie towarowym (wagon 10-tonowy). Było nas ogółem 47 osób w tym 12 byłych żołnierzy radzieckich, skazanych za różne przestępstwa popełnione w czasie służby wojskowej. Zajęli od razu po wejściu do wagonu 1/3 jego część, aby mieć miejsca leżące. Dla pozostałych 35 więźniów pozostała reszta wagonu, nie posiadającego żadnego piętra. Stłoczyliśmy się, ale miejsca wystarczyło tylko tyle, że można było siedzieć w tzw. kuczki. O tym, aby się położyć, nie było mowy. Poza byłymi żołnierzami radzieckimi, najliczniejszą grupę stanowili Polacy, przeważnie starsi wiekiem. Było trochę Litwinów oraz litewskich Rosjan. Między Polakami znajdowali się m.in. prof. dr Z. Fedorowicz, J. Tłomakowski W. Religioni, W. Gajewski, Protasewicz, dr Brynk, Jasiewicz, Tomaszewski, kpt. Stefan Czernik (mąż H. Skarżanki). Kilku byłych żołnierzy radzieckich przeszło na naszą stronę i przez cały czas etapu zachowywali się najzupełniej poprawnie. Pozostali natomiast przez cały etap okrutnie dali się nam we znaki.

Jeszcze przed ruszeniem pociągu zaczęła się dla nas podróż w nieznane. Rodzice W. Religioniego w sposób nieznany i przy zastosowaniu nieznanych środków, przekazali synowi za pośrednictwem jednego z konwojentów, paczkę zawierającą ciepłą odzież oraz bieliznę. Paczka ta została natychmiast po jej doręczeniu odebrana przez przywódcę bandy i powędrowała do tej części wagonu, gdzie znajdowali się byli radzieccy wojskowi. Następnie wszyscy więźniowie nierosjanie i Rosjanie litewscy zostali przez byłych wojskowych zrewidowani. Rabowano rzeczy, z których jeszcze coś dobrego po pobycie w więzieniu ocalało. Odbierano żywność oraz wyroby tytoniowe. Tych, którzy stawiali jakikolwiek sprzeciw i opór, bito w niemiłosierny sposób. Najwięcej dostawało się tym, którzy nie przyznawali się do posiadania tytoniu lub machorki, a po zrewidowaniu okazało się, że go posiadali.

Przed ruszeniem w drogę konwój wyznaczył starostę wagonu, odpowiedzialnego za ład i porządek w czasie podróży oraz za jakąkolwiek próbę ucieczki więźniów. Starostą został herszt bandy. Przez starostę byliśmy w czasie podróży zaopatrywani w żywność (chleb) oraz wodę. Co pewien czas otrzymywaliśmy również zupe. Jaka część przeznaczanych racji żywnościowych dostawała się do naszych rąk, trudno powiedzieć, ponieważ nie znaliśmy norm. Otrzymywaliśmy jednak chleba bardzo mało, znacznie mniej od tych ilości, jakie dostawali bandyci.

W czasie podróży na stacjach kolejowych, na których pociąg się zatrzymywał, herszt bandy przekazywał niektóre zrabowane rzeczy konwojentom, otrzymując w zamian pewne produkty żywnościowe oraz machorkę.

Taki stan nie trwał jednak długo.

Tu urywa się pierwsza relacja Henryka Jackiewicza z drogi, jaką przeszedł w trybach sowieckiego systemu sprawiedliwości. Zwróćmy uwagę, jak niewiele miejsca poświęcił Henryk swemu procesowi zakończonemu wyrokiem 10 lat zsyłki. Ledwie dwa zdania na ten temat to głos doświadczonego człowieka, który rozumie, że w bolszewickiej Rosji rolą rozprawy sądowej nie jest dowiedzenie winy lub jej braku. „Skoro złapali, to nie wypuszczą” – to naczelna zasada, a proces to tylko etap na drodze do łagru – lub egzekucji.

Jeśli jednak zajrzymy do orzeczenia trybunału, dowiemy się, że Henryka Jackiewicza skazano ze słynnego artykułu 58 KK Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej, a dokładniej jego punktów 58-1a i 58-11. Skazany został za udział w kontrewolucyjnej organizacji (Delegatura Rządu), działającej przeciwko Związkowi Sowieckiemu, a także za zdradę ojczyzny – oczywiście Związku Sowieckiego. Jakkolwiek brzmi to absurdalnie, a może nawet śmiesznie, to z bolszewicką władzą żartów nie było – na podstawie 14 punktów jednego artykułu 58 wymordowano w ZSSR miliony ludzi.

Drugim tekstem, w którym Henryk opisał swoje losy, jest „Moja droga krzyżowa do Polski” – sam tytuł mówi, czym dla Henryka Jackiewicza był pobyt w bolszewickiej niewoli. Tym razem relacja jest trochę inna, ponieważ spisana została w punktach. Pierwszych 10 punktów jest jak gdyby streszczeniem wcześniejszej relacji, jednakże postanowiliśmy nie usuwać ich dla utrzymania spójności „Mojej drogi krzyżowej”, a także by zachować tekst źródłowy w całości.

Moja droga krzyżowa do Polski od 7 września 1944 roku do 14 grudnia 1955 roku.

1. 7.09.1944 – aresztowanie przez NKWD w Wilnie, przy ulicy Makowej w mieszkaniu Edmunda Greczannika.

Noc z dnia 7.09.1944/8.09.1944 spędzona w więzieniu NKWD przy ul. Mickiewicza (Wilno).

8.09.1944 – ucieczka z więzienia.

26.12.1944 – aresztowanie przez NKWD w mieszkaniu Józefa Pieślaka, w Wilnie, przy ulicy Szeptyckiego 18 i osadzenie w więzieniu przy ul. Mickiewicza.

Na początku wiosny 1945 przewiezienie z więzienia przy ul. Mickiewicza do więzienia w Wilnie „Łukiszki”.

Po krótkim pobycie w więzieniu „Łukiszki” osadzenie z powrotem w więzieniu przy ul. Mickiewicza.

23.05.1945 – wywiezienie samolotem z Wilna do Moskwy i osadzenie w więzieniu na „Łubiance” (w pojedynczej celi nr 45).

Pod koniec czerwca 1945 – przewiezienie z więzienia „Łubianka” do więzienia w Moskwie „Butyrki” (pojedyncza cela nr 142).

8.07.1945 – przewiezienie w tzw. stołypińskim wagonie z Moskwy do Wilna.

W dniu 14 lipca 1945 przyjazd do Wilna i osadzenie w więzieniu na „Łukiszkach”.

23.11.1945 – wywiezienie z Wilna w wagonie towarowym na północ Związku Radzieckiego do Archangielskiej „Oblasti”.

2. 1.12.1945 – przybycie do miejsca przeznaczenia oraz pobyt w niżej wymienionych obozach przymusowej pracy (Isprawitielnnye Trudowyje Łageria = ITL), rozlokowanych w różnych mniej lub bardziej od siebie oddalonych miejscowościach:

3. Kolumna nr 6 – obóz tzw. przesyłkowy oraz inwalidzki;

Kolumna nr 3 – Zakłady Remontowo-Mechaniczne;

Kolumna nr 1 – Zakłady Przemysłu Drzewnego;

Kolumna nr 10 – Cegielnia (zima 1947/48);

Kolumna karna nr 9 – wyrąb lasu w tajdze (tzw. liespowal);

Powrót do kolumny nr 3 przekształconej w międzyczasie w obóz inwalidzki.

Jesień roku 1949 – wywiezienie do obozu przymusowej pracy, położonego w Komi – Republice autonomicznej, do Kniaź Porostu, a stamtąd do:

więzienia tzw. przesyłkowego w Kirowie Obłastnym (dawniej Wiatka).

W styczniu 1950 r. – wywiezienie z Kirowa przez Gorki i Moskwę do Mordowskiej Autonomicznej Republiki, do obozu o zaostrzonym reżimie (speclagier), m.in. więźniowie ponumerowani – mój numer Ż-536, numer: na czapce, na spodniach, na bluzie, na tielogrejce („fufajka”), na buszłacie (waciak). Nazwa obozu Isprawliennyj Trudowej Łagier – Dubrawłag. Krótki, kilkutygodniowy pobyt w oddziale (omgielewie) przesyłkowym. Następnie skierowanie do oddziału (omgielewia) inwalidzkiego.

Pobyt w Otdieleniu nr 10. Okna w barakach zakratowane. Drzwi wejściowe do baraku od capstrzyku do pobudki zamykane na klucz. Do stołówki i do ustępów trzeba było chodzić brygadą pod nadzorem tzw. brygadiera.

Po półrocznym pobycie w wymienionym wyżej Otdieleniu przewiezienie do Otdielenia nr 7 – produkcja skrzynek do radioodbiorników oraz innych wyrobów drzewnych jak: szachy, warcaby, itp.

W połowie 1951 roku – wywiezienie z obozu Dubrawłag na Syberię, do zagłębia węglowego Kuzbas, Kiemierowskaja Obłast, i osadzenie w obozie o zaostrzonym reżimie w posiołku Olżeras na podgórzu Altaju (stosunkowo bliska odległość od granicy Chin i Mongolii). Przejazd w wagonie towarowym trwał 15 dni. Ja i moi towarzysze niedoli (ok. tysiąca) zostaliśmy osadzeni w barakach jednopiętrowych, o oknach zakratowanych i drzwiach od capstrzyku do pobudki zamykanych na klucz.

W czerwcu 1953, po wykonaniu zadań przy budowie w miejscowej kopalni węgla, tzw. Obogatielnitoj Fabriki (czyszczenie, sortowanie węgla), cały nasz obóz został przewieziony pociągiem towarowym do nowego miejsca przymusowej pracy, w okolice Omska (Syberia Zachodnia), do pracy przy budowie rafinerii ropy naftowej. Reżim taki sam, jak w obozach poprzednich, w Mordowii i Olżerasie.

We wrześniu 1954 – wywiezienie na zsyłkę do Kazachstanu etapem i dwutygodniowy pobyt w więzieniu w Omsku (stare więzienie o wyjątkowo grubych murach).

Wywiezienie z więzienia w Omsku do położonego już w Kazachstanie więzienia w Petropawłowsku. Stąd, po dziesięciodniowym pobycie – wywiezienie do następnego więzienia:

4. W Karagandzie (również w Kazachstanie), nie w samym mieście, lecz w okolicy. Po kilkudniowym pobycie w tym więzieniu – odwiezienie ciężarówką przez nieuzbrojonych już enkawudzistów i bez psów – do punktu zbornego dla więźniów skierowanych na zsyłkę. Moja zsyłka zamykała się w granicach miasta Karaganda, których pod groźbą bardzo surowych kar nie wolno było przekroczyć. W miejscowej komendanturze dla zesłanych otrzymałem zawiadomienie, że jestem zsyłszym i znajduję się pod jawnym nadzorem MWD[10]. Obowiązywało mnie meldowanie się co dwa tygodnie w komendanturze (w drugiej połowie 1955 – raz na miesiąc). Od listopada 1955 rozpocząłem pracę w miejscowym przedsiębiorstwie budowlanym, w charakterze księgowego. Otrzymałem mieszkanie w hotelu robotniczym przedsiębiorstwa. Tutaj dopiero mogłem nawiązać, po 9 latach przerwy, kontakt rodziną, a przede wszystkim z żoną i dziećmi oraz rozpocząć wraz z moimi rodakami, również przebywającymi w Karagandzie na zsyłce – usilne starania o zezwolenie na powrót do Polski. Starania nasze, jak również prowadzone równoległe starania naszych rodzin, uwieńczone zostały pomyślnym rezultatem.

5. W dniu 29 listopada 1955 roku pociągiem osobowym, zapełnianym repatriantami i więźniami, wyjechaliśmy z Karagandy do Polski. Jechaliśmy, omijając Moskwę, przez Kijów, Lwów. Po przejeździe granicy ZSRR-PRL skierowano nas do punktu repatriacyjnego w Sanoku (woj. rzeszowski) w dniu 11 grudnia 1955. Następnego dnia otrzymałem kartę repatriacyjną oznaczoną numerem 2755, podpisaną przez kierownika punktu repatriacyjnego oraz zasilek, w sumie tysiąc złotych, i zaświadczenie na kredytowany przejazd do miejsca zamieszkania mojej żony i dzieci, tj. do Wrocławia. Przed wyjazdem z Sanoka telegraficznie powiadomiłem o tym żonę, podając dzień i godzinę mojego przyjazdu. Przyjechałem do Wrocławia 14 grudnia 1955 roku, serdecznie i radośnie, po jedenastoletniej rozłące, witany przez żonę i dzieci.

Henryk Jackiewicz.

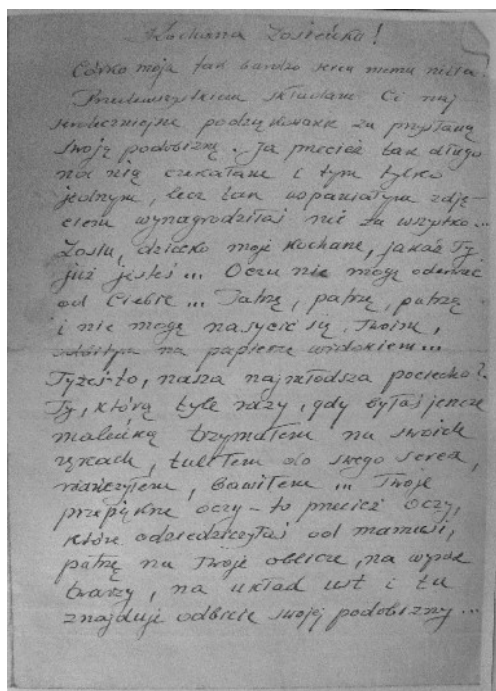
Ciężka praca za głodowe racje żywności odbijały się na zdrowiu Henryka i jego towarzyszach niedoli. Wielu straciło życie. Niemniej Henryk wspominał, że grupy skazańców rosyjskich, mimo wykonywania równie ciężkiej pracy, często nie otrzymywały żywności w ogóle. „Z czego wy żyjecie?” – zapytał ich. „Zawsze coś się uda skombinować.” – padła odpowiedź. „My jesteśmy więźniami wśród swoich, Ruskich, i oni nas poratują, a wam – obcym – nie pomoże nikt. Dlatego wam muszą dawać trochę jedzenia, żebyście nie zdechli za szybko.”

Okres terroru zwanego stalinizmem kończył się powoli. Stalin zmarł w marcu 1953 roku, zaś okres „odwilży” swoje apogeum miał dopiero trzy lata później – w Polsce jego przejawem były robotnicze protesty i Poznański Czerwiec ’56, a następnie liberalizacja polityki komunistycznej władzy wobec obywateli, zwana „polskim październikiem”. Z więzień wypuszczono ok. 35 tysięcy więźniów, których nawet trudno było nazwać politycznymi, gdyż byli to np. żołnierze Armii Krajowej, wojskowi i cywile, którzy powrócili z Zachodu, lub słuchacze „Wolnej Europy”. Równolegle z sowieckich łagrów zwalniano i pozwolono wrócić do Polski prawie 30 tysiącom więźniów. W liczbie tej znalazł się także Henryk Jackiewicz, ale jego powrót – ostatni etap owej „drogi krzyżowej” trwał bardzo długo.

W połowie października 1954 roku Henryka zwolniono przedterminowo z łagru, ale nie oznaczało to nadal wolności. Został zesłany do miasta Karaganda, po którym mógł poruszać się względnie swobodnie, ale nie mógł do opuszczać. Pracował jako księgowy w przedsiębiorstwie budowlanym, za co otrzymywał pensję wystarczającą na skromne życie. W dni wolne od pracy chodził wraz innymi Polakami zesłanymi do Karagandy na plac zarzucony sprzętem zrabowanym przez Rosjan podczas wojny – marszu na Berlin. Były tam też urządzenia z Polski, między innymi z wytłoczonymi napisami: „Hipolit Cegielski”.

Będąc w Karagandzie Henryk Jackiewicz mógł wreszcie odnowić kontakt z żoną i córkami. Łączność między nimi urwała się po otrzymaniu przez Henryka wyroku. Mogło to oznaczać najgorsze, gdyż standardowo wyrok 10 lat pozbawienia wolności bez prawa do korespondencji oznaczał karę śmierci. Tym razem czarny scenariusz się nie sprawdził i rodzina Jackiewiczów mogła między sobą przysyłać listy i paczki żywnościowe. Henryk pisał listy do żony i córek –

niekiedy wspólny do całej czwórki, często do każdej z osobna. W liście z 17.04.1955 do najmłodszej córki Zosi pisał m.in.:



Kochana Zosieńko

Córko moja, tak bardzo sercu memu miła!

Przede wszystkim składam Ci najserdeczniejsze podziękowanie za przysłaną swą podobiznę. Ja przecież tak długo Cię nie widziałem i tym tylko jednym, lecz tak wspaniałym zdjęciem wynagrodziłaś mi za wszystko... Zosiu, dziecko moje kochane, jakaś Ty już jesteś? Oczu nie mogę oderwać od Ciebie... Patrzę, patrzę, patrzę i nie mogę nasycić się odbiciem na papierze widokiem... Ty żeś, nasza najmłodsza, pociechą. Ty, którą tyle razy, gdy była jeszcze maleńką, trzymałem na swoich rękach, tuliłem do swego serca, niańczyłem, bawiłem... Twoje przepiękne oczy to przecież oczy, które odziedziczyłaś po mamusi. Patrzę na Twoje odbicie, na wyraz twarzy, na układ ust i tu znajduję odbicie swojej podobizny.

Dziecko moje drogie, wróć do Ciebie, na pewno wróć... Muszą się spełnić Twoje marzenia... Muszą się spełniać marzenia Twojej mamusi i Twoich sióstr: Krysienki i Halinki... Nie będziecie już się czuły sierotami, znowu będziecie miały przy sobie, w swoim domu, swego rodzonnego ojca...

Wszelkich możliwych dokładam starań, aby te nasze „marzenia” ziściły się jak najrychlej. A

choć dzisiaj nas dzieli tysiące kilometrów, ja w każdej minucie, swoim sercem, swoimi myślami stale jestem przy was. Nie zapomniałem Was i nigdy nie zapomnę dopóty, dopóki bije moje serce.
[...]

W trzy miesiące później nadal trwała intensywna korespondencja pomiędzy Karagandą a Wrocławiem, gdzie zamieszkała rodzina Henryka. W listach pojawiają się inne tony, jedne wywołują uśmiech, drugie niepokój. Oto fragment innego listu do Zosi, z 15.07.1955:

Piszesz mi, że w swoim czasie brałaś udział w zawodach lekkoatletycznych, w biegach na 100m, 500, 800m i w skokach w dal. Proszę, napisz mi, jakie miałaś rezultaty. Ja również interesuję się sportem i sam zajmowałem się nim, kiedy byłem młody. Nieźle skakałem o tyczce (ok. 3 metrów), rzucałem dyskiem (ok. 39m), najlepsze wyniki osiągałem w boksie amatorskim. Mówiono, że cios mój był silny, a orientacja szybka. Zachęcano mnie nawet, ażebym poświęcił się karierze bokserskiej, ale nie do tego była moja głowa. Jak poświęciłem się i polubiłem pracę spółdzielczą, to przestałem zajmować się boksem.

Kochana Córkę, zapewne już wiesz od mamusi, że mnie tutaj zarejestrowano tutaj na wyjazd do Polski. 13 bm. upłynął miesiąc od daty wypełnienia odpowiedniego blankietu. Mówią, że będzie repatriacja i oni przyspieszą mój powrót do Polski. Na razie nikt jeszcze stąd nie wyjechał, lecz krążą pogłoski, że ma to nastąpić już w niedługim czasie. Kiedy..? – nie wiadomo. A ja tak gorąco pragnę jak najprędzej powrócić do Was. Chciałbym, ażeby skończyła się moja samotność i Wasza sieroca dola.

Henryk przywiązywał wielką wagę do edukacji, równomiernego rozwijania umysłu, sprawności fizycznej, walorów charakteru. W jego listach widać to szczególnie wyraziście. Przez tyle lat nie widział swych córek, które z dziewczynek wyrosły na dorosłe panny. Sam zawsze dążył do tego, co wartościowe i pragnął, by jego dzieci – mimo nieobecności ojca – żyły w myśl takich samych zasad. Jego marzenie spełniło się w pełni.

Drugi z przytoczonych wyżej akapitów jest już mniej pogodny. Henryk wypełnił dokumenty repatriacyjne i żył nadzieją na powrót do domu. Ale czekanie przeciągało się i stawało nową torturą. Mijały miesiące, a to, co zdawało się być w zasięgu ręki, nie mogło się spełnić. Już 15 stycznia 1955 roku żona Henryka Jackiewicza, Aleksandra, złożyła do Prezydium Rady Narodowej m. st. Warszawy podanie o przeprowadzenie repatriacji jej męża z Kazachskiej S.R.R. do Polski. Z treści dokumentu przebija desperacja i z trudem skrywany gniew.

*Wyżej wymieniony Henryk Jackiewicz nie repatriował do Polski we właściwym czasie z powodu zawieruchy wojennej. Zaginął w tym czasie, kiedy ja z dziećmi wyjechałam do Polski. Nie wiedziałam wówczas, co się z nim stało, dopiero po dłuższym okresie mąż napisał do mnie, że odbywa karę, **ale jaką, nie wiem do dzisiaj** (wytłuszczenie – LZ). Obecnie mąż pisze, że nie ma żadnych przeszkód do powrotu i połączenia się z rodziną. Po powrocie Henryka Jackiewicza do Polski zobowiązuję się zapewnić mu utrzymanie. W załączeniu wymagane dokumenty [...]*

Bez wątpienia Polacy czuli się poniżani, gdy starając się o wypuszczenie niewinnie więzionych bliskich, zamiast „zagarnięcie Wilna przez Rosjan” musieli pisać „zawierucha wojenna”. Pisząc: *wyjechałam do Polski* – Aleksandra musiała skłamać, gdyż nie tyle wyjechała, co uciekła przed sowiecką deportacją. Znajoma Litwinka ostrzegła ją, że gdy wejdą Rosjanie, czeka ją wysiedlenie. Po długiej tułaczce, dotarła z trzema córkami do Wrocławia, gdzie w 1946 roku przydzielono jej mieszkanie po rodzinie niemieckiej. Tam czekała na wieści o mężu.

Wreszcie – w połowie grudnia 1955 roku – nastąpił szczęśliwy finał, czyli powrót Henryka Jackiewicza z Kazachstanu do Polski. Najpierw zamieszkał oczywiście we Wrocławiu. Trwała fala powrotów Polaków do kraju i Henryk udzielał się w pracach Ogólnopolskiego Komitetu Pomocy Repatriantom. Miał prawo do wglądu w jego pracę i interweniowania w sprawach repatriacyjnych w odpowiednich urzędach.



Następnie Henryk z Aleksandrą przenieśli się do Falenicy. W Warszawie Henryk otrzymał pracę w dziale rewizyjnym organizacji „Samopomoc Chłopska”. Na szczęście ruch spółdzielczy w Polsce po wojnie nie został tak stłamszony, jak cała reszta gospodarki i życia społecznego. Henryk pracował tam do 1972 roku, potem przeszedł na emeryturę, a w 10 lat później, 20 sierpnia 1982 roku – zmarł.

Można powiedzieć, że po powrocie z Karagandy dla Henryka zaczął się nowy okres życia. Był on dość długi, by Henryk odnalazł się w nowych realiach i czerpał radość z życia. Jednak po doświadczeniach z sowieckim systemem Henryk nie potrafił nabrać przekonania, że najgorsza, stalinowska twarz komunizmu, już nie wróci. Uważał, że odzyskana wolność i rodzinne szczęście wcale nie są mu dane już na zawsze. Przecież system pozostał z gruntu ten sam... Dlatego Henryk raczej niechętnie opowiadał o swoich przejściach więziennych i obozowych, wołał spisywać je i trzymać w swoim archiwum.

Drugim powodem, dla którego historia Henryka Jackiewicza – tak ważnej postaci – pozostawała dotąd mało znana, była jego naturalna niechęć do wspomniania złych, traumatycznych zdarzeń. Dodam jeszcze, że Henryk był człowiekiem nie tylko znakomicie działającym na rzecz Polski i jej obywateli, czołowym przedstawicielem spółdzielczości, ale nade osobą pełną dobroci i prawości.

Do końca tęsknił za wolną Polską, którą znał z okresu międzywojennego, i której oddał najlepsze lata swego życia. Gdy odprowadzano Henryka Jackiewicza w ostatnią drogę, a działo się to w samym środku stanu wojennego, jego przyjaciel, Jerzy Wroński, pożegnał go słowami: *Śpij Henryku w polskim grobie, niech się Polska przyśni Tobie.*

Serdecznie dziękuję Rodzinie Henryka Jackiewicza: Zosi, Jerzemu Borowczakom i Krysi Wędrychowskiej oraz Kasi Gnieweckiej i Mariuszowi Borowczakowi za niezwykle cenne materiały i osobistą pomoc, bez której nie powstałby ten artykuł. Dziękuję Redakcji Podlaskiego Kwartalnika Kulturalnego i Grzegorzowi Michałowskiemu za udostępnienie łamów pisma dla historii Henryka Jackiewicza. Lech Zaciura.

[1] Edmund Greczannik pseud. „Ryś” przedstawiciel w WKD stronnictwa Demokratycznego, działacz pracowniczych, związków zawodowych, członek Prezydium WKD (Wileńskiej Koncentracji Demokratycznej)

[2] sledowatiel – sędzia śledczy

[3] Ponary – dzielnica Wilna, w czasie II wojny światowej miejsce wymordowania przez SS i kolaboracyjnej policji litewskiej ok. 100 tys. ludzi, gł. Żydów, Polaków, Rosjan i Romów.

[4] Wnutriennaja Tiurma NKWD – wewnętrzne więzienie NKWD

[5] nadzieratiel – stróż, dyżurujący podoficer

[6] preżarka – rodzaj pieca, gdzie „wyprażano” w wysokiej temperaturze ubrania, aby je odwszawić

[7] parasza – prymitywna ubikacja, wiadro pełniące funkcję kibla

[8] „Boksownia” – sala więzienna, gdzie są przyjmowani do więzienia albo wysyłani więźniowie.
(Z/K)

[9] *Isprawitielnyj Trudowej Łagier* – Poprawczy Obóz Pracy, w praktyce obóz pracy przymusowej, łagier

[10] MWD - *Ministierstwo Wnutriennych Dieł*, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych